

Dziennik domowy.

Proźno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

REJ Z NAGŁOWIC.

Poznań, dnia 3. Marca.

ROK 1841.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryżkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Kilka wypadków z młodości jenerała Madalińskiego. *)

Przez autorkę powieści: „Dwa pogrzeby.”

W kolegium jezuickim w Poznaniu w dzwonek uderzono. Na ten głos szmer po klasach powstaje, profesorowie wychodzą — młodzież z miejsc się rusza, bo to było dziesięć minut wypoczynku.

W gramatyce z krzykiem i śmiechem zaczęło się bieganie po ławkach i stołach, a choć głos profesorów było za drzwiami słychać, i bat bockowski leżał na katedrze, nie to nie pomogło. Dziewięcioletni chłopczyk przyskoczył do tablicy i zaczął na niej rysować. Po chwili, na wielką uciechę całej klasy, wyrysował, niby postać człowieka, niby łaskę z małą galką a ogromną kluczką. Dla chłopców było to jednak wyraźnie, bo krzyknęli: „Pater Jański!” — a rysujący wielkimi literami podpisał Jański.

Jeszcze ręki od tablicy nie odjął, kiedy naraz nastąpiła cisza, jakby wszyscy zaniemówili; obrócił się — aż tu stoi przy nim w własnej osobie ojciec jezuita Jański. Chłopczyzna zbladł, cofnął się — bo jastrzębie oczy jezuita zaiskrzyły się — żyły na skroniach nabrzmiały, a ogromny nos rozczzerwieniał się jak żarzący węgiel. Patrzył chwilę na tablicę, skrzywił usta jakby się chciał zaśmiać — a potem jak panter przyskoczył do chłopczyny, wplótł swoje

chude palce w jego lniańie długie włoski i włókł go do katedry, wziął bat i bił bez litości.

Chłopcy jedni ze łzami, drudzy z zemstą w oczach patrzyli; radziby go zakryć swoim ciałem, bo go kochali. Stali jednak jak przykuci na miejscu, gdyż karność niewolnicza przewyższyła wszystkie uczucia; może to dla tego w dalszym życiu tak łatwo przyjęli obcą niewolę. Ręka jezuita nieustawała w razach, chociaż chłopczyk już ich pewnie nie czuł, bo się wcale nie ruszał. Nagle rozległ się krzyk po klasie: „Antoś nie żyje! — Zabity!” — Bijący zatrzymał rękę w powietrzu, wyrwał palce z włosów — a Antoś runął bez władzy o ziemię. Przestraszony jezuita podniósł swoją ofiarę — zaczął nim potrząsać — rozwiązywać jedwabny pas — czamarkę rozpinać. Zemdląły otworzył oczy — a on odechnął, bo wiedział: że za plagi choć najsrozsze czekają go podziękowania ojca — a za zabójstwo więza. Wziął Antosia z całą pieczołowitością ojcowską na rękę i wyniósł z klasy.

Antoś blady i osłabiony leżał na łóżku, a przy nim siedziała matka, obsypując go pieczyotami. Co chwilę dawała jakieś przysmaczki, opowiadała zabawne dyktoryjki — szczęśliwa, kiedy go ucięszyla, rozśmieszyła. Właśnie rozgarniała mu włoski i całowała, gdzie pokazywał, że go boli, kiedy się szeroko drzwi rozwarły, i wszedł jegomość. Z ukosa spojrzał na żonę, i już co ją tylko miał ofuknąć że chłopaka psuje, ale dojrzał tu niej lzy w oczach, i rzekł łagodniejszym tonem: „No, no, Urszulku! pakuj się, bo zaraz pojedziemy. A cóż to widzę, dodał unosząc torebkę żony — wacek ciężki, to wasani nic nie posprawiła? Dosyć już tego ciec-

*) Wypadki tu przytoczone opowiadał mi towarzysz broni i przyjaciel jenerała Madalińskiego, który je od niego po wiele razy słyszał. Staraniem mojem było trzymać się ściśle opowiadanych mi szczegółów, niektóre z nich zostały tylko rozszerzone, boć niepodobna swoich myśli do endzych nie przyłożyć. — Nazwiska jezuity i dworskiego opowiadający nie pamiętał. Przep. aut.

kania, trzeba, żeby i drugie dzieci boso nie chodzili. «

Jéjmość podniosła się natychmiast, obwinęła się w kaczorową grodytorową jupkę, wsadziła świeży kornet na głowę, i wyszła na miasto. Jegomość usiadł przy stole i przeliczał pieniądze pozostałe od sprawunków.

Wtém z cicha drzwi otworzono i wszedł wysoki, cienki, wypudrowany jezuita, z bobrową czapką pod pachy. Z uniżonością przybliżył się do jegomości, który na jego przybycie porwał się z miejsc, mówiąc:

«A witam, witam wielce miłego mi gościa!» — Obadwaj spojrzeli na łóżko, a jegomość prosił przybyłego do drugiego pokoju. Antoś zawlókł się pod drzwi, słuchając ich rozmowy. Naprzód jezuita przeproszał ojca za obicie syna, tłumacząc się przytém, że z tymi swawolnikami nie podobna już poradzić. Jegomość przyznał, że chłopiec zanadto zbity, dodał jednak: że mu to na dobre wyjdzie, że bite dzieci najlepiej wyrastają, i prosił jezuitę, by i na przyszłość, jak zasłuży, ukarał go należycie.

Antoś już więcej nie słuchał, bo słowa ojca padły jak kamień na jego serce; wrócił do łóżka i bardzo nad czémś rozmyślał, bo aż młodziutkie czoło omarszczył. Cioteczni bracia, z którymi mieszkał, przyszedli ze szkoły i opowiadali wypadkiienne — on ich słuchał bez interesu, a myślał i myślał. Matka wróciła z miasta, usiadła, Antoś zaś rzewnie zaczął płakać. Przestraszona spytała: «Czyś tak bardzo chory?» — «Nie.» — «Płaczesz, że ja odjeżdżam?» — Milczał. — «Muszę dzisiaj odjechać, moje dziecko, bo by się jegomość gniewał, ale nie długo tu znów będę u ciebie.» — «To mnie mama już nie zobaczy» zawołał łkając. — «Co ty gadasz moje dziecko! co ty gadasz!» i zaczęła go całować.

Ale z drugiego pokoju uchylono drzwi, i wyjrzała groźna twarz małżonka, który wołał z przyciskiem: «Imość, imość, mam tu gościa jegomość księdza Jańskiego.» Spiesznie powstała i szła do gościa, a Antoś przez otwarte drzwi widział, jak jezuita kieliszek z winem na stole postawił, i z pokorą szedł ku matce, jakby ją o co miał błagać — ale ojciec prędko drzwi zamknął.

Za powrotem matki pytał się Antoś, co ksiądz Jański mówił. — «Przeproszał, że cię zbił.» — «Już mię nie będzie więcej bił,» mówił znowu z płaczem. Stroskana matka zalała się łzami, wstała od łoża, aby ich syn nie widział, a otarłszy oczy zawołała kleryka, dyrektora dzieci, dała mu dwa tyńfy z prozbą, żeby je zaniósł na mszę, dla uproszenia u Boga odwrócenia tych smutnych myśli od Antosia. Po-

tém dała synowi czerwony złoty na cukierki, i żegnała go krzyżem świętym — a on schwycił jej rękę i tak całował — i tak płakał, że ją aż gwałtem wyrwała, bo jegomość nadchodził. Ojciec na pożegnanie podał mu rękę do pocałowania i rzekł żartobliwie: «Nie rób psich spruchów, nie będziesz bity.»

Antoś już przyszedł do zdrowia, był tylko blady i smutny. «Nie smuć się» mówili bracia — «coż że jutro pójdziesz do szkoły, przecież cię zaraz nie obijają. Po obiedzie pójdziemy na karmelitańskie łąki, będziemy grali w piłkę.» — Antoś nic nie odpowiedział, ale miał łzę w oku.

Po obiedzie nie chciał iść na łąki, mówiąc, że go głowa boli; dyrektor go też nie przymuszał, bo materya, co dostał od jéjmości na rewerendę, a przytém proźba, żeby się z Antosiem łagodnie obchodził, jeszcze mu z pamięci nie wyszły. Ledwie odeszli, Antoś okrył się sukienną kapotką, zajrzał w woreczek czy ma dukata, wsadził magierkę na głowę i prędko biegł ku wielkiemu mostowi. Po kilka razy zdawało mu się, że ktoś za nim woła, i jeszcze prędej zbieżał. Nie odetchnął jak na Śródcie, obejrzał się raz ostatni na miasto — zaczął odmawiać: «Kto się w opiekę» — i szedł w świat.

Nie będziemy opisywali przygód podróży Antosia, bo i on wyrosłszy sam ich dobrze nie pamiętał. Dość, że trzynastego albo czternastego dnia po wyjściu z Poznania siedział blisko drogi, i patrzył na wieże w dali ukazującego się miasta.

Było to w piękny dzień jesienny, nowe oziminy już się zieleniły — skowronek złudzony śpiewał nad niemi jakby na wiosnę; Antosowi się przypomniało, jak je w domu łapał z synem podstarościego — i płakał domu, i płakał matki, nie wiedział dalej, co począć. Z dukata już tylko kilka czeskich zostało, czerwone bóćki zdarły się na nic, i kamyski w obolałe nogi bardzo uciskały — miał iść do miasta, ale nikogo tam nie znał, a widział nieraz, jak małych żebraków za drzwi wypychano. Wszystko to było okropne, ale powrót do domu jeszcze okropniejszy, bo baty jezuickie i Alwar stawały oraz przed nim jak mary piekielne.

Wtém usłyszał cwałowanie konia, — obraca się, a tu ktoś jedzie niby na siwoszu ojca. Coraz go bliżej widać — Antoś poznaje czamarkę i czapkę jakby ojca, zdaje mu się już, że i jego groźna ręka i spojrzenie surowe go sięga. Porwał się i co sił zaczął uciekać, ale nogi nieposłuszne nie chciały go nieść dalej, upadł i płakał rzewliwie. Jeździec przyszedł koniem, zsiadł i wypytywał chłopca, czy

się nie skaleczył. Ten uspokoił się, poznawszy, że nie ojciec.

Przybyły pytał go, skąd jest, bo po ubiorze choć zniszczonym poznał, że nie prostej kondycji dziecko. Antos powiedział, że jest z Wielkopolski i idzie za służbą.

»Nie masz ty to krewnych?«

»Bili mię bardzo i uciekłem.«

»Szlacheckieś ty dziecko?«

»Szlacheckie.«

»Jak się nazywasz?«

»Antoni Gutowski« odpowiedział nieśmiało, bo mu się zdawało, że patrzący na niego odgadł kłamstwo.

»Ha! Gutowsky, to moi koligacy. Jabym cię wziął z sobą, ale nie kłamiesz ty? Napiszę do Wielkopolski, a jeśliś łykoskie albo chamskie dziecko, to sto razy smalonych.«

Nie czekał jednak odpowiedzi, ale wsadził Antosia na siwosza przed siebie i ruszył ku miastu. Wkrótce nadszedł kilkunastu szlachty konno i wozami, ze zgrają psów i myśliwych. Ujrawszy jadącego wołali: »Mości Błotnicki, cóż to waś za zwierzynę wiezie?« — »Znalazłem na drodze, przyda się na pokojowca« i opowiedział przygodę chłopca. Szlachta wzięła go w egzamin, jak było ojcu i stryjom imię, ale się jakoś gładko wykręcił, bo nawet jeden upatrzył, że ojcu podobien. Ruszyli ku stolicy.

W Warszawie wszyscy razem wjechali na obszerny dziedziniec — stajenni konie poodbierali, a Antos za swoim panem wszedł do izby, w której stało kilka łóżek i stołków, a na pobielonej ścianie wisiały szable, fuzye; i rzędy na konie. Weszło tam jeszcze kilku z tych, co przyjechali, każdy się starannie ubrał i wyszedł. Pan Błotnicki zawołał swego pacholka, przykazał mu, żeby chłopcu obmyślił jeść i posłanie. Teraz dopiero Antos dowiedział się, że jest u dworskiego księżnej Sanguszkowej.

Wcale mu się na tej służbie podobało, bo wesoło było w dworcu księżnej; chociaż czasem wyszturchano, to nie bito przynajmniej ze systemu jak u jezuitów, a co najwięcej, że nie przymuszano do alwara. W pierwszych tygodniach często płakał za matką — ale każdy ubiegły dzień unosił z sobą cząstkę żalu — choć jej nie zapomniął, przestał jednak za nią tęsknić. Pan do Wielkopolski nie pisał, lubo nieraz obiecywał — bo cięższe mu było pióro od szabli, wołałby trzy razy się rąbać, niż jeden list napisać; rozpowiadał tylko: iż już ma pewność, że Antos szlacheckie dziecko.

Z początku nie miał żadnych obowiązków, wyjąwszy w święto iść za panem do kościoła i podać mu książki. Biegał więc sobie swobodnie po podwórzu, swawoląc z innymi chłopakami. Panny dworskie wypatrzyły go, złościły do siebie, pieściły — bo był śliczny i roztropny chłopczyna. Nieraz pan Błotnicki sprzeciwiał się pannom, mówiąc, że nie pozwoli malcowi u nich przesiadywać; nieraz popłakały i pogniwały się z tego powodu na niego, a na uspokojenie długo je musiał przeproszać i przyrzekać, że go już nie weźmie.

Wszystkie chłopca lubiły, roztropniejsze nawet zaczęły się nim opiekować z troskliwością prawdziwie macierzyńską. Chociaż umiał czytać i pisać tak pięknie jak one, czuły jednak, że na mężczyznę czegoś więcej potrzeba, i uprosiły księdza kapelana, żeby go uczył. Znaleźli się i inni, co Antosia uczyli, bo nie wszyscy mieli taką odrazę do książki i pióra, jak pan Błotnicki; a pannom każdy się rad był przypodobać, starsi — bo przez nie najbliższa droga do łask księżnej, młodszy — bo ich czarowały śliczne oczki, a czasem i niegorszy posażek. Antos w takim zatrudnieniu i towarzystwie rościł układnym i dobrym.

W cztery lata po przybyciu Antosia do Warszawy, księżna przepędzała lato w dobrach swoich na Rusi. Chociaż to już była osoba w dość podeszłym wieku, hucznie jednak bywało na jej dworze. Codziennie zajeżdżały — karety — kolasy — bryczki — a nawet i wózki; każdy był gościnnie przyjmowany, bo wszyscy byli bracia szlachta.

Hulał ten kwiat narodu, jak dzicy ludzie koło ogniska, na którym się dopiekało ciało ich matki, a każdy patrzył, żeby się i jemu cząstka dostała — i chwycił ją — nie westchnawszy za przeszłością — nie pomyślawszy o przyszłości. Zasnął w zbytku i lenistwie — przebudził się na chwilę — zadrgnął kilka razy i skończył na wieki. Chyba człowiek z rozumem dziecięcym chciałby te nagie czaszki podnieść i wrócić do życia. Raczej zostawić szkielet szkieletem, przeznaczyć go do grobowca. Jego wskrzeszenie trudne, bo już za życia był trupem. Duch miłości szkieletów się nie czepli.

Na dworze księżnej, kiedy szlachta nie pila, nie grała w karty, nie tańcowała, to polowała. I Antos często z flintką wybiegał; składny był do strzelania, wszyscy też jego celność chwalili. Z tych pochwał pierwszy raz się księżna dowiedziała, że na jej dworze jest jakiś wyrostek, boć trudno było znać magnatowi wszystkich swoich darmozjadów, zwłaszcza, że z każdym możniejszym gościem przybywał ich

poczet niemały. Zapragnęła księżna chłopca zobaczyć. Panny bardzo go zachwalały, a Antos fertyczny i układowy wcale się pani podobał, i przybrała go za pazia.

Wystrojony od złota i bławatów przesiadywał odtąd w bogatych komnatach, i rozkazywał hajdukowi, jakby był ich panem, choć i on sługa — ale sługa herbowy, a oni chłopci. Jego obowiązki nie były uciążliwe: u stołu stać za krzesłem pani i zająć tak smacznie jak ona sama, do kościoła ponieść jej książkę i okulary, a jeżeli był przypadkiem w pokoju, oddać drobną posługę — choć się jednak czasem do tych obowiązków nie stawiał, nikt go o to nie łajał. Byłby całkiem szczęśliwy, gdyby nie przychodziła mu na pamięć matka płacząca i wybladła ze żalu po nim. Nieraz już zabierał się do powrotu. Surowość ojca przez czas i oddalenie złagodziła się w jego pamięci, myślał: „rzucę mu się do nóg — on mię ofuknie, może i uderzy — potem jednak przycisnie do serca.“ Ale ten błogi obraz niszczył jezuita z alwarem pod pachą, a z batem w ręku. Stał on w jego duszy, jak upiór przed dzieckiem wybierającym się o północy na grób matki — zimno go przeszło i znów kilka dni nie myślał o powrocie.

(Dojście nastąpi.)

O emancypowaniu się stosunków rodzinnych.

1. Stosunek żony do męża w starożytności.

(Ciąg dalszy.)

Obok Aten, wzniósł się w Grecji inny, jeszcze naród do potęgi i znaczenia, głośny surowymi żołnierskimi prawami Likurga. I kobiety z Lacedemony głośne były z surowych obyczajów i mężkiego żywota. Wychowanie Spartanek było jako męczyzna. Porównano z nimi wprawiały ciała swoje do zwinności i hartu; wśród gimnastycznych ćwiczeń występowały bez odzienia. Dziewiczej zatem wstydlivosti, co płeć uświęca i promiennym blaskiem niewinności oblicze niewieście zdoła, nie znały. Niewiasty Sparty. Wstydlivosc kobieca jest jak ów pyłek na śliwie, modrą niby nieba barwą zdołać jej owoc, niepokalany, póki go się ręka ludzka nie chwyci, a ścierający się za dotykiem. Bez tej barwy znika urok owocu, już sponiewierany acz jeszcze cały, i zmysłu estetycznego nie wabi. U dzieć spartańskich wczas ta barwa ścierała się. Sparta wydała heroinie, ale nie wydała kobiet. Miękkosc uczuć niewieścich stwardla, wdzięki ciała zgrubialy,

wszelki urok kobiecy uleciał. Największa przecież była emancypacja żony w Sparcie. Prawodawca nadał jej wszystkie wolności męża, bo ją kazał wychowywać jak męża. Kraj, i tylko kraj był celem ostatecznym płci obojg. W miłości ojczyzny miały wyschnąć i wygorzeć wszystkie inne uczucia. Łza w oku żony za poległego męża lub syna, szanowała obywatelkę Sparty, miłość dla kochanka była słabością kary godną. Była to więc emancypacja cywilna, lecz nie naturalna. Kobieta stała się wolną, ale przestawszy być kobietą. Wypaczone przyrodzenie pomściło się w czasie za gwałt sobie wyrządzony. Brak wstydlivosti u niewiast, brak miłości w pożyciu małżeńskim, wolność łamania monogamii w niedostatku potomstwa, były to niebezpieczne nasiona złego, które niebawem całą ogarnęły Spartę, jak tylko do niej na miejsce Likurgowej surowości, miękkosc i rozkosze życia wcisnęły się. Gdy wraz z prawami upadł także cel polityczny małżeństwa, Spartanka obrana z kobiecych uczuć szlachetnych, w swobodach kraju swego musiała tylko znajdować popęd do rozpusty i obyczajowego rozwolnienia. Pierzchły z kraju wstyd i uczciwosc, skromnosc i przyzwoitosc. Zepsucie w końcu do tego stopnia wzrosło, że małżeństwo zamieniło się we wspólność kobiet, i ród niegdyś tak ostrych obyczajów, stał się najrozwojlejszym z Greków, i pociągnął za sobą upadek ojczyzny.

Grecja między narodami starożytności młodzieńczego była ducha, rozkwitująca wdziękami sztuk pięknych, nadobna twórcami bujnej wyobraźni. Ale obok talentu i udatności, były w niej i namietności młodzieńcze. Szał zmysłowy ją objął, i wycieńczona w rozkoszach skonała. Przeciwnie Rzym w postępie dziejowym dojrzał na męża. Życie jego było ciągłą walką; podboje majątkiem politycznym; świat cały dostał się po nim w puszczynie świeżym młodym narodom. Prawo także najwięcej u Rzymian wykształcone znamionuje mężką ich rozwagę. Z takiego całego kraju dziejowego stanowiska wypłynęło także poważne stanowisko kobiet, a żon w szczególności. Wysokie uobyczajenie, szacunek osobisty, wstydlivosc, miłość ojczyzny, znamionowały rzymską niewiastę. Poważająca siebie samą, poważana była od mężczyzn, i zaszczytem było nazywać się matroną rzymską, albo matką rodziny (mater familias). Od pierwszych początków narodu zaprowadzony instytut panien Westalek ku strzeżeniu świętego ognia, był symbolem uświęcającym dziewiczy wstyd niewiast, który Lukrecja i córka Wirginusza krwią swoją przypieczetowały. Nie z bojaźni kary, ale z uczucia wstydu, nie przeżyła hańby

żona Kollatyna. W tém już wielki leży postęp. Wartość kobieca w moralnej sile swojej po raz pierwszy się tu objawia. Dla tej to wartości nie uważał Rzymianin żony swojej ani za rzecz ani też za przedmiot rokoszy, ale ją podniósł do siebie familijném przywiązaniem, które pozbawiając ją jeszcze udzielnosci, nie robiło z niej przecież niewolnicy. Stosunek żony do męża, był jak córki do ojca. W tém tylko rozumieniu brana być powinna ustawa rzymska, dająca mężowi prawo życia i śmierci nad żoną. Wszakże więcej żona miała dla męża uszanowania niżeli poufalości, i dla tego nazywała go panem swoim.

Małżeństwo było jednożenne. — Pierwszy Antyniusz za tryumwiratu dał przykład wielożeństwa. Śluby uważane były za święte. Romulus pozwalał mężowi rozwieść się z żoną tylko w przypadku niedotrzymania wiary małżeńskiej, pijaństwa, lub podrzuconych mu obcych dzieci. Prawo dwunastu tablic żąda po mężu ważnych powodów do rozwodu, które należało siedmiu świadkami potwierdzić. Ztąd poszło, że rzadkie zrazu u Rzymian były rozwody. Dopiero w 520 lat po założeniu Rzymu pierwszy zdarzył się tego przypadek. Od czasów Katona i Cicerona, narzekających już na zepsucie niewiast, zmienił się jednak ten stosunek. Zagęściły się rozwody i zgorszenie wcisnęło się do stanu małżeńskiego. Ostatnie lata republiki rzymskiej i wieki cesarskie naznaczone były mnóstwem zbrodni i wszeteczności, których się żony znamienitych Rzymian dopuszczały. Mięszały się w sprawy kraju, stawały na czele sprzysiężonych, i nie jedna ofiara padła z ich morderczej ręki. Messalina, za życia jeszcze cesarza, męża swego, jak niegdyś Hipparchia w Grecyi, publicznie dała ludowi zgorszenie, a Heliogabal matkę swoją do senatu wprowadził. I tu, jak wszędzie, gdy Rzym zbierał do upadku, poprzedziło rozwolnienie obyczajów, znieważenie ślubów, emancypacja niewiasty do rozpusty i swawoli z upodleniem męża. Furta więc, kędy przechód do ruiny narodów, był w starożytności, a podobno będzie i zawsze, upadek niewiasty jako żony. Cała moralna siła ludu od żon się poczyną, niemi stoi lud silny jak drzewo na licznych uczepione włóknach korzeni. I rzecz widoczna. Wszakże to nieodstępne towarzysзки żywota mężów, wszakże to matki całego młodego pokolenia! Czegoż nie dokaże żona na mężu, a gorszący przykład matki na dzieciach?

W przeciągu więc kilku tysięcy lat, któremi za kreslają się dzieje starożytne, żona nie podniosła się ani do moralnej, ani do politycznej udzielnosci. Jeżeli się zaś emancypowała, to jedynie potęgą zmy-

słowych wdzięków nad mężem. Przez jego moralny upadek wyniosła się; jak dawniej żony mężów, tak potem mężowie żon byli narzędziem tylko i niewolnikami. Przewrócony ztąd porządek społeczny wywraçał koniecznie całą państwa budowę. Wpa-
trując się w ustawodawstwa starożytności tak religijne jak świeckie, odgadujemy przyczynę takiego poniżenia kobiet. Uważano w nich tylko matki narodów i nic więcej. Wydać potomstwo było jedynym i ostatecznym celem istnienia kobiety. Nie pojmował człowiek, że jak mąż nie tylko na to żyje, ażeby był ojcem, tak i kobiety przeznaczenie nie na samo macierzyństwo ogranicza się! Z takiego wyobrażenia wypłynęło wielożeństwo i początkowa rzeczowość kobiety; ztąd potem uważanie małżeństwa przez wszystkich prawodawców jako instytucji politycznej zaopatrywania kraju w silne, dorodne i dzielne pokolenie. Owa sromota, rzucana na bezdzietnie niewiasty — i umyślne haniebienie ślubów małżeńskich, odnoszą się do tego samego wyobrażenia. We wszystkich prawodawstwach starożytności natrafiamy na lewirat, czyli małżeństwo przymusowe.

W Indiach było artykułem wiary, że pójdzie do piekła, kto po sobie nie zostawi potomka płci męskiej, i dla tego wolno było postarać się o niego za pomocą krewnych. Religia Persów uczyła, że schodzący z tego świata bezpotomnie, nie przejdą przez most, który prowadzi do raj, i dla tego mimo monogamii pozwalały prawa pojąć drugą i trzecią żonę, gdyby pierwsze dzieci nie miały. Mojżesz w tej samej myśli rzucił przekleństwo na żony bezdzietne, i przepisał w ustawach swoich: że jeżeli mąż umiera bezpotomnie, brat jego, albo najbliższy krewny bierze pozostałą wdowę za żonę, a ztąd i potomstwo imię zmarłego przybiera; gdyby się wzbraniał, podpada karze haniebnej, że publicznie z nóg mu zdejmują obuwie.

W Grecyi, a mianowicie w Sparcie, najwydatniej się to wyobrażenie przebija. Likurg pozwolił mężom mijać się na żony, a w małżeństwach przez wiek niestosownych wprowadził prawo, które prędzej czy później koniecznie musiało rozwiązać śluby, i podkopać całą moralność społeczną. Dopiero Rzym, co sięgnął we wieki średnie, zniżył z takiego stanowiska sam cel materyalny, i postawił obok niego godność żony familijną. Żona już nie tylko matką dzieci, ale oraz matką familii (mater familias). Tu ztąd krok tylko jeden do moralnego znaczenia żony, i ten krok zrobił chrystyanizm.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Teatr amatorski w Gnieźnie.

Słynęła Polska w czasach szczęśliwszych z mówców swoich. Sejmy, sejmiki, stowarzyszenia się rozmaitych bractw, zabawy publiczne, dostarczały wiele materiału do urobienia języka, do wyrażenia łatwego uczuć i myśli, do zażegnania niemi życia publicznego i prywatnego. Dziś wszystko to stoczyło się do ognisk rodzinnych, a głos publiczny bodajnie na samej wymowie kaznodziejskiej, lub też toastach spełnianych przy obiadach i wieczerniach, się ograniczył. Dla tego pojawia taki, jakim jest teatr amatorski, uważamy z tej strony za szczęśliwy i pożyteczny, moment dosyć ważny wśród tylulicznych ruchów umysłowości polskiej. Bo kiedy liryka u nas stanęła na szczycie doskonałości i dramat za nią pospiesza, słuszną, że i z nim na scenę wystąpiono. Nie dosyć czytywać się w lirycie, w dramacie, pozostanie to zawsze oderwanym pokarmem ducha, ale kiedy myśli, charaktery, ujrzymy ucieleśnione, kiedy przed oczyma naszymi potoczy się pomysł poety w słowie, grze ruchów ciała, wyrazie twarzy, plastycznej całości, natenczas wyrażnief i snadnief pojmiemy to, co chciał powiedzieć autor. Rozumie się samo przez się, że gra aktorów w sztuce nie powinna pozostać po za utworem poety. A jeżeli dziś u nas dla braku aktorów z powołania, tu i owdzie dostrzeżemy u ich zastępców naprędce zebranych małe usterki, z chęcią i względniem sercem przyjmiemy i to, co nam z własnem poświęceniem się, na korzyść i pokarm ducha przedstawili.

Z tych zapewne względów i dla celu dobroczynnego zawiązał się w tych dniach w Gnieźnie teatr amatorski. Dnia 25. Lutego pierwszą sztukę przedstawiono, komedią napisaną przez J. Niemcewicza pod tytułem: Powrót posła. Sztuka sama, ile naprędce napisana, nie przedstawia tych intryg, węzłów, zawieszenia ciekawości, charakterów osób, gry uczuć, które interes obudzają powszechny, ale jest to jedna z tych, co w uczuciu pocziwem poczęta, nie tak pod względem sztuki, jako dążności, na uwagę powszechną zasługuje. Trudna to nieraz sytuacja osób postawionych na scenie, które w akcyi żadnego lub bardzo mały udział biorą, i ztąd też podkomorzyna w tej sztuce trudną miała do odegrania rolę. Starościna tymczasem więcej w akcyi wchodząca, ku powszechnemu zadowoleniu zadanie swoje rozwiązała. Pan Szarmancki i starosta Gdulski całkiem przejęli się rolą, którą odegrali z żwałością, równie jak i Walery, kochanek Teresy. Pozostałe osoby, mniej więcej wchodzące do akcyi, ile sił starały się odpowiedzieć swojemu zadaniu.

W ogólności sztuka ta dosyć żwawo i niezawisłe od suflera odegraną została, grupowania nie nasadzone na jedno miejsce, stósowny rozkład, przedstawił osoby w akcyi wchodzące w jednym symetrycznym obrazie. Brak tylko udziału wszystkich osób w akcyi dawał się uczuć niekiedy. Nie dosyć na czas wpadać z odpowiedzią lub z zapytaniem, nie dosyć na czas wchodzić na scenę, trzeba jeszcze w rzeczy przedstawianej, w osnowie mowy brać udział i zanim odpowiedź nastąpi, już ją natchnieniem, wzgardą lub ironią, malującą się w rysach twarzy, w ruchu ciała i jestach uprzedzić. Lecz do tego potrzeba długiej wprawy, i zupełnego zapomnienia siebie, — najważniejszą przecie rzeczą, pojąc i przejąc się osnową sztuki. Z tém wszystkiem sztuka cała odegraną została z wielkim wdziękiem, naturalnością i tym spółudziałem publiczności, na jaki artystom dramatycznym z powołania trudno zasłużyć. Ztąd też liczne zgromadzenie zupełnie zadowolone opuściło teatr i po długiem stęsknieniu za sceną ojczystą, serdeczną wynurzyło wdzięczność osobom, które z takim poświęceniem sprawiły dawno upragnioną przyjemność.

ROZMAITOŚCI.

Dwór i król. Nie było dworu we Francyi przed Franciszkiem I. On dopiero go utworzył, otoczył przepychem, wyrozumowanym despotyzmem, wszelkimi powabami, tak iż całe życie i cały świat ówczasowy tylko około króla się znachodził. Jego matka rej wiodła, wyszukała najpiękniejsze dziewice, siostra zaś Małgorzata dodała inną jeszcze przyprawę, grę fantazyi i dowcipu, a Franciszek rozszerzał urok form w przestrzeniach i uroczystościach, i nadawał ruch zmianom i życzeniom. Z damami nastala intryga, zbytek i galanterya. Co jest galanterya? Montesquieu nazywa ją kłamstwem miłości. Król był środkiem wszystkiego, sercem galanteryi, świata francuzkiego. Królowi podobać się, wyżej ceniono aniżeli inne obowiązki święte wypełniać. Ztąd owo tragiczno-komiczne znaczenie wyrazu: niełaska, tyle co domiar nieszczęścia, a oddalenie od dworu co sama śmierć. Z tém łączyły się oznaki dostojeństw, odznaczeń, różnic i owe drobiazgowce przepisy, które etykietą nazywamy. Król sam wyłączny miał przywilej pójść spać przy złotym lichtarzu o dwóch ramionach i to jest jedniem z najdawniejszych znamion etykiety.

Szlachta we Francyi. Sprzedawanie dyplomów szlacheckich stanowiło przychód korony, ale

już za Henryka III. tak mało znajdowało się kupców na nie, iż tysiącami zalegało wygotowanych. La Rogne w swym »*Traité de la noblesse*« wspomina o pewnym kupcu wołów, który wzbraniał się wykupić wygotowanego mu dyplomu szlachectwa, i dopiero zagnano go do przyjęcia go przez fantowanie. W roku 1789. nadużycia te stanowiły przedmiot roztrząsań i wyrachowano wówczas, że z 15,000 familii szlacheckich we Francyi, 13,000 otrzymało szlachectwo w podobny sposób. Z pozostałych 2000 familii szlacheckich, było 1400 nobilitowanych w skutek zasług przez nie położonych, a 600 stariej spadkowej szlachty. — Książę Artois, później Karól X., podczas pobytu swego w Kolblenc, zwykł był zapytywać przybywających z Francyi emigrantów: »wszak pan jesteś szlachcicem?« — »Tak jest mci książę.« — »Już naprzód o tém byłem przekonany.« A jeżeli przybysz odpowiedział: »nie jestem szlachcicem,« natenczas książę mawiał: »ale pan zasłużyłeś być szlachcicem.«

Szczególniejszy wypadek zdarzył się w garnizonie w Valenciennes. Trębacz drugiego pułku ułanów umarł w tém mieście, a własność po nim spadła na successorów jego naturalnych. Któż więc zgłosił się do pułkownika po spadek? Dwie matki, jedna z Algieru, druga z Paryża. Od czasów sądu Salomona podobny przypadek jeszcze się nie wydarzył. Sąd nawet, przed który sprawę tę zanieśiono, nie może się nawet do fortelu króla żydowskiego uciec, bo syn tych dwóch matek już nie żyje.

Rząd w Grecyi mimo usilnych starań nie może ani między Grekami, ani Turkami, znaleźć człowieka, któryby się podjął urzędu kata. Wszystkie osoby, które dotąd tymczasowo ten urząd sprawowały, poginęły śmiercią gwałtowną. Teraz nakoniec znalazł się Francuz, który żąda za sprawowanie podobnego urzędu 400 franków pensyi miesięcznie, a za każde ścięcie gratyfikacyi 100 franków.

Kobiety w Nowym-Jorku. Cała ludność w Nowym-Jorku czysto i pięknie się nosi. Mężczyźni po większej części ubrani są w czarne fraki i pantalone, w czarne kamizelki, lśniąco białocią półkoszulcza, i czarne jedwabne krawaty. Kobiety zaś w sutych jedwabkach czarnych, z czarnemi haftowanemi zasłonami. Wyższego tonu kobiety nigdy nie idą pieszo przez miasto. Własne lub najęte ekwipaże przenoszą je około jedenastej przed południem na Broadway, najpiękniejszą i największą ulicę. Przechodzą się z kramów do kramów rozlicznych, często nic nie kupiwszy. Co wybiorą, to pakują kupcy. Oddają swój adres, kupiec zaś odśela paki za niemi do domu. Rachunek posęła w 6

miesiący, a jeżeli po pierwszém przypomnieniu nie zapłaci dama, natenczas w 1½ lub 2 latach posęła go powtórnie do męzowskiego kantoru, gdzie zaś płać, choćby i tysiące wynosił. Lecz takie rachunekczki często i bankructwo na dom sprowadzają. Mąż do podobnego kupna wcale nie wchodzi. Głównem to jest zatrudnieniem żon. Córki obywateli rzemieślniczych także chodzą w jedwabkach z zasłonami, a nawet i kucharki i subretki, ale w kolorach jasnych. I te jeżdżą omnibusami, a kto je nie zna, wzięłby je za damy najpierwszego tonu. Wszystkie kupują podobnie na ulicy Broadway, i z tego powodu w trzy- lub czterynasób drożej płać, aniżeli w innych częściach miasta. Kram też w Astorhouse kosztuje od 2—4000 dolarów rocznego najmu. Podobnie jak mężczyźni i kobiety są tam piękne, ale piękność męzyczna jest męzka, kobiet zaś zbyt zniebiesiała. Piękne ciemne oczy, piękne rysy twarzy, ale wszystko jak z wosku. I dzieci w Nowym-Jorku mają postać woskową.

Komedia angielska w Paryżu. Przed kilkunastu dniami grano w Paryżu u żony posła angielskiego komedię i to komedię z grzmotem, deszczem, strzałami z karabinów i t. d. Nie umiano obchodzić się ze zmianami kulisów, dla tego przed każdą zmianą spuszczano zasłonę. Pewien z widzów nie rozumiejący po angielsku, sądził, że to są między-akty, a chcąc jeszcze tegoż wieczora odwiedzić inne towarzystwo, opuścił widowisko przed zakończeniem. Zapytany tamże, jak mu się podoba angielski teatr, odpowiedział: »nie mogę o nim sądzić, bom dopiero piętnaście pierwszych aktów widział.«

Wieczory hiszpańskie. Hiszpanie tańczą z podobną namiętnością jak Polacy. Towarzystwo, któreśmy odwiedzili, — mówi pewien niemiecki podróżny — składało się z młodych panien, ich matek, ojców, braci, kilku oficerów z gwardyi i polskich oficerów z pułku ułanów. Dwóch skrzypków grało tańce, czasem fortepianista przy fortepianie, z przygrywką na gitarze. Tańczono aż do północy. Przy tém nie częstowano, nie dano ni herbaty, ni wina, ni czekolady, ani nawet wody, — ale za to tańczono. Zdawało się, że nikomu nie wpadło na myśl posilić się, lub też orzeźwić. Podobne towarzystwa wcale nie wystawiają gospodarza na koszt. Kilku służących przy przyjmowaniu gości, kilka tuzinów świec woskowych, które w Hiszpanii są bardzo tanie, i kilka grzeczności, te są wyłączne wydatki. Pięknie wysadzone salony nie opalają Hiszpanie; młodzież tańcem się zagrzewa, starsi zaś w kątach pokoju siedząc opierają nogi na fajerkach zarzewiem napełnionych. Wszystko szło bez przy-

musu i żwawo. Zgrabne wysmukłe panienki były powabne, ale bardzo pojedynczo ubrane. Włos ciemny, pełny, otaczał głowę w prześlicznych splocach. Suknia u góry jak ulana słaniała się skromnie od białej szyi aż do stóp. Tańczono francuskie, polskie, szkockie tańce, ale żadnych hiszpańskich. Ludność Stanów Zjednoczonych w północnej Ameryce wynosiła w roku 1840. — siedemnaście milionów; w roku 1810. liczone tamże 7 milionów mieszkańców.

Baron Delmar w Paryżu kazał salon w swoim pałacu przystroić nakształt kościoła inwalidów w czasie pogrzebu Napoleona. Rekwiem Mozarta śpiewali ci sami artyści, co śpiewali podczas uroczystości pogrzebowej. Koszta tego naśladowania wyniosły 15,000 franków. Pewna gazeta wspomina, że wszystko jak najwyborniej urządzono, i tylko — trupa — niedostawało.

Kiedy u nas zima z całą gwałtownością powraca, dojrzewają w okolicach Neapolu pomarańcze. Łąki zazieleniły się, a we wszystkich ogrodach kwitną hiacynty, narcyzy i róże.

MODY. — Paryż, dnia 26. Lutego 1841. — Ranny ubiór. Suknia z tarlatanu w zielone i fioletowe kraty. Czepeczek i chusteczka z ałesońskich koronek. Pantofle z złocistej skóry.

Ubiór na wyjście. Suknia z dauphinu; szal długi z fioletowego aksamitu, osadzony kunami. Aksamitny kapelusz palijowy; haftowana chustka od nosa; bóćiki z czarnego jedwabnego sukna.

Ubiór na wieczory. Suknia z mory w kolorze fioletka borowego, o dwóch falbanach czarnych koronkowych. Berta koronkowa. Czepek blondynowy zdobny różami i świerzbnicami, w których kielichu djament. Strój z pereł i djamentów.

Ubiór świetny na wieczory. Suknia z niebieskiej krepy, osadzona srebrnym galonem; stanik grecki podwójnie galonami, równie jak rękawy, osadzony. Przepaska sznurowa z srebra i pereł. Wianek z białego zawilca z djamentem w każdym pąkówiu. Strój djamentowy. Suty wachlarz. Bukiet.

Młode Damy po większej części białe się na bale ubierają i słusznie.

Miedzy sukniami, które w kadrylach powiewały, wymieniamy jedną z białej gładkiej krepy z szerokim brzegiem, przez który przewleczono różową wstążkę. Na czworokątnym staniku à l'enfant osadzono gładko koronkę bez zmarszczań. Rękawki krótkie i różowa przepaska z długimi końcami. Na blond włosach nad czołem wianek z dzikich róż.

Prócz wymienionych wyliczymy inne balowe ubiory. Suknia z białej krepy z podwójną powłoką; wierzchnia daleko krótsza zaokrąglona z każdej strony, przypominała tém więcej greckie tuniki, iż stanik w sposób grecki i krótkie rękawy gładko wykrojone były. U dołu u każdej powłoki przejrzyste bramowanie z złota i białego jedwabiu, wraz z szeroką fręzlą z złota i jedwabiu. Odpowiedni sznur przepaskowy. Około stanika podobny galon, a na ramionach dwie śliczne kamee utrzymywały sfaldowania. Na głowie grecki kapturek z aksamitu purpurowego, nahaftowany złotem i drogiemi kamieniami. U niego dwie złote barby, które po dwóch stronach szyi jak dwoje liści słaniały się. Suknia różowa z trzema powłokami, u których brzegu garnitur z ałesońskich koronek. Berta i potrójne mankiety z podobnych koronek. Potrójne powłoki pięknie wyglądają. We włosach miała Dama girlandę róż à la Ceres.

Suknia z czarnego aksamitu z zmarszczanym stanikiem sznepkowym. Mało przytém stroju, wyjąwszy siatkę perłową, która włosy z tyłu utrzymywała, a sama spięta dwiema grubemi szpilkami, z gałeczkami na końcach djamentowemi w sposób algijski, wraz z sznurówkami i kutasami djamentowemi.

Suknia z białej krepy z stanikiem aksamitnym koloru granatów. Powłoki potrójne, osadzone wszystkie aksamitem w granatów kolorze.

Piękna suknia czarna koronkowa z przodu orzucana różami w kształt fartuszków.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór męzki. Krótki surdut z wązkim kołnierzem, wielkimi bocznymi kłapami i wielkimi guzikami.
2. Balowy ubiór. Suknia z indyjskiej organtyny, haftowana jedwabiem i osadzona kokardami. Stanik i rękawy gładkie. Strój głowy z pereł i wstążek.
2. Ubiór wieczorny. Turban en tartalanne. Suknia aksamitna, osadzona koronkową falbaną, która aż po za połowę sukni przechodzi. Stanik gładki z bertą. Rękawy z dwóch bufek, z angażantami koronkowemi. Rękawiczki strojne wstążką.
4. Strój balowy. Suknia z krepy palijowej, z wierzchnią powłoką z téjże tkaniny; z przodu ku dołowi ukosy w kształt piramidy, ujęte w perły woskowe z kutasami po bokach. Podobny stanik. Rękawy z trzech falbanek.



